Stalin a Powstanie Warszawskie
Próba interpretacji

Paweł Wieczorkiewicz

Stosunek Stalina do Powstania Warszawskiego wpisuje się w znacznie szerszy kontekst nie tylko jego polityki wobec Polski i Polaków, ale i całej globalnej strategii Związku Sowieckiego, której krańcowe cele - podbój Europy, a później i świata - pozostawały niezmienne przez cały okres jego istnienia, od Lenina i Trockiego po Gorbaczowa. Wstępnym warunkiem ich osiągnięcia musiało być zdruzgotanie nienawistnego Sowietom systemu wersalskiego, umożliwiające współudział w kształtowaniu nowego porządku europejskiego na znacznie bardziej korzystnych warunkach. Jednocześnie od czasu wojny domowej po rok 1939 kierownictwo polityczne ZSRS żywiło aprioryczne i irracjonalne przekonanie o możliwości i wręcz groźbie zmontowania przeciwko „pierwszemu państwu robotników i chłopów" wielkiej ideologicznej krucjaty państw imperialistycznych. W przypadku realizacji każdego z tych scenariuszy rola Polski była kluczowa jako bazy wypadowej zarówno do marszu Armii Czerwonej w głąb Europy, jak i nieprzyjacielskiego uderzenia na Moskwę.

Pomyślna koniunktura międzynarodowa dla wprowadzenia w życie ofensywnych planów Stalina zarysowała się jesienią 1938 r., po konferencji monachijskiej. Związek Sowiecki został co prawda wyłączony z koncertu europejskiego, ale, wbrew opinii ministra Józefa Becka, zyskiwał w rysującym się wyraźnie konflikcie pozycję arbitra, o względy którego ubiegać się będą obydwa powstające bloki wojenne. Nie jest przypadkiem, że właśnie wtedy oficjalni przedstawiciele ZSRS przedstawili na zasadzie sondażu alternatywne możliwości jego udziału po stronie III Rzeszy w „czwartym rozbiorze Polski" lub w koalicji brytyjsko-francuskiej - za cenę zagarnięcia polskich ziem wschodnich i rumuńskiej Besarabii.

Ponieważ mocarstwa zachodnie nie chciały i nie mogły frymarczyć interesami swego sojusznika, Stalin zdecydował się na bardziej obiecujący alians z III Rzeszą. Jego istotę tłumaczył już po ataku niemieckim na Polskę sekretarzowi generalnemu Międzynarodówki Komunistycznej Georgi Dymitrowowi: „Nie mamy nic przeciwko temu, by [mocarstwa zachodnie i III Rzesza] pobiły się porządnie i osłabiły wzajemnie. Dobrze byłoby, aby rękoma Niemiec została zachwiana dominacja bogatszych państw kapitalistycznych (zwłaszcza Anglii)". Dodatkową korzyścią miała stać się zagłada Polski: „Zniszczenie tego państwa w obecnej sytuacji oznacza istnienie jednego państwa faszystowskiego mniej. Cóż złego w tym - konkludował Stalin - gdybyśmy w wyniku pogromu Polski rozszerzyli system socjalistyczny na nowe terytoria i nową ludność".

Wiążąc się z Niemcami sowiecki przywódca dbał o zachowanie swobody działania. Interesującą w tej mierze poszlaką jest odnotowana śladowo koncepcja tworzenia bezpośrednio po 17 września 1939 r. Polskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, użyteczna jedynie w perspektywie podboju całości ziem polskich. Uwagę zwraca też niespotykana koncentracja wojsk na zajętych terenach - po faktycznym zakończeniu mobilizacji, w początkach października, zebrano ich tam o wiele więcej niż wymagały tego ówczesne potrzeby. Nasuwa się tu wniosek, że w kierownictwie sowieckim brano pod uwagę możliwość starcia niemiecko-francuskiego jeszcze jesienią 1939 r., co stwarzało w określonej sytuacji szansę przedłużenia „wyzwolicielskiego marszu" co najmniej do Poznania, jeśli nie do Berlina. Wobec innego obrotu spraw projekty te zostały odłożone *ad acta*.

Perspektywa kilkuletniej wojny na Zachodzie spowodowała, iż dla Związku Sowieckiego sprawa polska straciła na aktualności jako zagadnienie strategiczne, a ziemie polskie - ako baza wypadowa, co pozwalało rozwiązać ją jako kwestię wewnętrzną i własnymi rękami przy użyciu policyjnych metod oraz ludobójczych środków.

Zmiana sytuacji nastąpiła po przedwczesnej i nieoczekiwanej klęsce Francji. Podjęte uprzednio działania, a zwłaszcza zbrodnia katyńska, okazały się „omyłką", o czym później informował swych polskich rozmówców półoficjalnie wicekomisarz spraw wewnętrznych Wsiewołod Mierkułow. Wobec realnej możliwości szybkiego konfliktu z Niemcami Stalin podjął działania dwutorowe: próbował nawiązać kontakt z rządem RP w Londynie i jednocześnie utworzyć u swego boku polskojęzyczne oddziały wojskowe. Świadczyło to o dwóch alternatywnych kierunkach jego polityki. Pierwszy, cofający się do aksjomatów strategii rosyjskiej, stanowił realizację koncepcji polityki Piotra I - Polski półsuwerennej i półniepodległej kontrolowanej przez Rosję, drugi odwoływał się do polityki Katarzyny II - absorpcji pozostałego terytorium RP, ale jako kolejnej republiki sowieckiej.

Agresja niemiecka na Związek Sowiecki zmieniła sytuację o tyle, że rozpaczliwie potrzebował on legitymizacji w oczach Zachodu, czego warunkiem koniecznym stało się prowizoryczne choćby ułożenie się z Polakami. Ambasador Iwan Majski, negocjując pakt z gen. Sikorskim, poszedł na polecenie Stalina na ustępstwa, z jego punktu widzenia bardzo daleko idące, i zgodził się na osławioną amnestię - fakt bez precedensu w dziejach Związku Sowieckiego, oraz na formowanie jednostek polskich w ZSRS. Warto zauważyć, iż wedle ujawnionej ostatnio relacji gen. Mariana Żegoty-Januszajtisa z wypowiedzianych wobec niego opinii Berii wynikało, że jeśli Polacy nie ugięliby się pod naciskami, strona sowiecka posunęłaby się jeszcze dalej i uznała ponownie granicę ryską. Oczywiście tego typu deklaracja w ustach „zawodowych oszustów", jakimi byli wedle trafnego określenia Mariana Seydy bolszewicy, miałaby wielce ograniczony horyzont czasowy, podobnie jak było to z propozycjami przedstawianymi stronic polskiej podczas poufnych negocjacji w roku 1919.

Stając się członkiem tzw. Wielkiej Koalicji, Stalin uzyskał za darmo pełną abolicję Brytyjczyków i Amerykanów, dotyczącą nic tylko jego roli w rozpętaniu wojny, ale i dwuletniego sojuszu z III Rzeszą, a nadto - rzecz nie bez znaczenia w polskiej optyce - popełnionych w latach 1939-1941 zbrodni ludobójstwa. Stałą taktyką ZSRS stało się odtąd szantażowanie aliantów domniemaną groźbą sowiecko-niemieckiego pokoju separatystycznego, który był o tyle wątpliwy, że w żadnym wypadku nie życzył go sobie Hitler.

Przełomowe znaczenie dla kształtowania dalekosiężnej strategii sowieckiej miały podjęte w roku 1942 rokowania z Brytyjczykami, którzy odmówili uznania dotychczasowych wojennych zdobyczy ZSRS. Stalin zareagował na to pragmatycznie, informując Mołotowa: „kto wie, czy nie jest to korzystne, gdyż będziemy mieli wolną rękę. Kwestię granic, czy może nawet gwarancji bezpieczeństwa naszych granic, na tym lub innym odcinku będziemy rozstrzygać siłą".

Był to schemat, wedle którego Kreml prowadził już od pewnego czasu politykę polską. Ponieważ rozmowy z Sikorskim w Moskwie nie doprowadziły do celu, jakim był terytorialny kompromis, który także z polskiej perspektywy był równie tymczasowy, jak ewentualne uznanie granicy ryskiej w pakcie Sikorski - Majski, w Moskwie przystąpiono do rozgrywania karty alternatywnej wobec rządu RP - aktywizacji całkowicie agenturalnych środowisk komunistycznych. Swego rodzaju równoległość polityki w kwestii polskiej istniała do wiosny 1943 r. Wówczas to Stalin, jeszcze przed ujawnieniem zbrodni katyńskiej, zdecydował się na przyjęcie jednoznacznej opcji, nakazując organizację Związku Patriotów Polskich i następnie Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Niemal jednocześnie rozpoczęto na polecenie Moskwy regularną wojnę partyzancką na kresach, skierowaną przeciwko polskiemu podziemiu.

Usankcjonowanie przyszłego zaboru ziem polskich przez ZSRS na konferencji teherańskiej, a wcześniej mistrzowskie rozegranie polityczne zbrodni katyńskiej, praktycznie rozwiązało Sowietom ręce w sprawie polskiej. Miała ona wciąż znaczenie kluczowe, a nawet rosnące, bowiem w braku definitywnych rozstrzygnięć dotyczących przyszłych losów Niemiec sowiecką strefę wpływów w Europie wyznaczała zachodnia granica państwa polskiego. Jak się wydaje, Stalin aż do lata 1944 r. wahał się, czy aneksja Polski będzie integralna, to znaczy polegająca na jej inkorporacji do ZSRS w postaci siedemnastej republiki, czy też kontrola nad nią będzie miała charakter pośredni.

Alternatywa była wciąż otwarta: Związek Patriotów Polskich można było przekształcić w rząd polskiej republiki sowieckiej (warto zwrócić uwagę na fakt postawienia na czele ZPP pułkownika Armii Czerwonej i obywatelki ZSRS Wandy Wasilewskiej i na rotę przysięgi wojska); w wariancie rezerwowym z gen. Zygmunta Berlinga dawało się, w razie potrzeby, zgodnie z jego nieskrywanymi ambicjami, uczynić przywódcę Rzeczypospolitej Polskiej, formalnie niepodległej i niekomunistycznej, ale i niesuwerennej. Charakterystyczne są w tej mierze wypowiedzi czołowych ekspertów sowieckich - wicekomisarzy spraw zagranicznych Maksima Litwinowa i Iwana Majskiego, obu z racji swego pochodzenia i politycznych doświadczeń zażartych polonofobów, nie w pełni zresztą zorientowanych w strategicznych planach Stalina, który nie miał zwyczaju

dzielić się nimi z nikim, zwłaszcza zaś z funkcjonariuszami o kompetencjach jedynie wykonawczych. Pierwszy z nich przekonywał uczestników moskiewskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych, iż Polacy „będą się musieli nauczyć żyć w swoich granicach etnograficznych jako mały naród, porzucając myśl, że byli wielką potęgą. Byli pysznym narodem, który nie miał dość zdolności
i siły, by urzeczywistnić swój wybujały nacjonalizm", drugi zaś stwierdzał w wewnętrznym dokumencie: „celem ZSRR powinno być utrzymanie niepodległej i zdolnej do samodzielnego bytu państwowego Polski, jednak nie [...] nazbyt dużej i silnej. [...] Czy przyszła Polska będzie prawdziwym przyjacielem ZSRR - nikt z całą pewnością powiedzieć nie może. [...] [Wskazane jest] ostrożne ukształtowanie powojennej Polski w możliwie minimalnych granicach, twardo wysuwając zasady granic etnicznych".

Główną przeszkodą w realizacji sowieckich planów dotyczących kwestii polskiej był nie rząd RP w Londynie - Stalin zakładał bowiem, że uda się go zatomizować i ubezwłasnowolnić - ale Armia Krajowa i polityczne władze podziemia, które stanowiły realną siłę, mogącą utrudnić realizację przewidywanego scenariusza. Do neutralizacji AK i władz konspiracyjnych przykładano na Kremlu wielką wagę. Na naradzie w wąskim kręgu najwyższych wojskowych Stalin stwierdzał kategorycznie: „Żadnej własnej administracji na terytorium Polski [chodziło oczywiście o obszar na zachód od linii Curzona] tworzyć nie będziemy i nie zaczniemy również zaprowadzać swoich porządków. Nie chcemy mieszać się w wewnętrzne sprawy oswabadzanego kraju. Jest to suwerenne prawo Polaków. Stworzono Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. On to powoła własną administrację. Z PKWN należy podtrzymywać ścisłe stosunki, żadnej innej władzy nie uznawać. - Powtarzam, żadnej innej władzy oprócz Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego nie uznawać!". Wytyczne te znajdowały potwierdzenie w surowych dyrektywach Stawki, zabraniających dowódcom liniowym, skłonnym do nawiązywania korzystnych z taktycznego punktu widzenia lokalnych umów z terytorialnymi dowództwami AK, wchodzenia w tego rodzaju porozumienia.

Po sprawnej likwidacji armii podziemnej na obszarach zabużańskich główną i zarazem ostatnią przeszkodą w realizacji polskich planów sowieckiego przywódcy pozostała Warszawa, nie tylko jako siedziba władz Polski Podziemnej i garnizon najsilniejszego zgrupowania Armii Krajowej, ale i centrum polityczne kraju. Ponieważ jednak największy i jedyny atut rządu i dowództwa polskiego - zmodyfikowany plan „Burza" i wszystkie związane z nim kontrowersje, z racji wszechstronnej infiltracji zarówno brytyjskich tajnych służb, jak też najwyższych agend władz RP, nie stanowił dla Stalina żadnej niespodzianki, mógł on z góry kalkulować, jak zareagować na spodziewany wybuch powstania w Warszawie.

Cała sprawa, wobec specyficznego stylu pracy sowieckiego dyktatora, a także równie specyficznego, ale i tradycyjnego stosunku obecnych władz Rosji do kwestii otwierania
i dostępności archiwów, pozostaje w sferze przypuszczeń i domniemań. Nie roszcząc sobie prawa do jedynie właściwej interpretacji, chciałbym zwrócić uwagę na kilka aspektów zagadnienia zazwyczaj pomijanych lub, moim zdaniem, błędnie interpretowanych w historiografii.

Wydaje się, że Stalin brał pod uwagę możliwość wyprzedzenia akcji Armii Krajowej. Wiadomo, że dyrektywa Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej (Stawki) z 27 lipca dla 1 Frontu Białoruskiego nakazywała kontynuowanie i rozwinięcie natarcia „w ogólnym kierunku na Warszawę", w celu opanowania Pragi i zdobycia przyczółków na Narwi w rejonie Pułtuska i na Wiśle w okolicach Dęblina „nie później niż 5-8 sierpnia". Korespondowały z tym w pełni plany dowództwa Armii Ludowej wywołania w Warszawie przewrotu, aby „w gorączce walk pierwszych godzin bezkarnie «trzepnąć» ten czy inny oddział reakcyjny włażący w parafię". Zakładany scenariusz przewidywał zatem, że w decydującym momencie będzie miało miejsce wystąpienie komunistów, do którego oddziały Armii Krajowej musiałyby się przyłączyć na zasadzie podległości; w innym razie ich próby przeciwstawienia się uzurpacji zostałyby stłumione przez nadciągające jednostki Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej i ludowego Wojska Polskiego pod hasłem walki z „polskimi faszystowskimi sojusznikami Hitlera". Oczywiście rozpoczęcie bitwy o Warszawę przez AK przekreślało te rachuby.

W tej sytuacji najgorszą z punktu widzenia Stalina ewentualnością byłby bluff ze strony Polaków, swego rodzaju odwrócenie sytuacji, jaka miała miejsce na kresach - pozorowanie walki, czy wręcz fałszywa informacja o jej podjęciu, i wciągnięcie wojsk sowieckich w pułapkę, polegającą na tym, że w momencie, gdy znajdą się już za Wisłą, garnizon stołeczny Armii Krajowej wystąpi „w roli gospodarza", praktycznie nienaruszony, a więc bardzo trudny do spacyfikowania. Niepokój w tej kwestii pobrzmiewa w zapytaniu szefa Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej gen. lejtn. Aleksandra Szczerbakowa, który 15 września (!) żądał od dowództwa 1 Frontu Białoruskiego wyjaśnienia, „co dzieje się w Warszawie; powstanie toczy się, czy jest to oszustwo (ros. *obman)*. Jeśli powstanie ma miejsce, to jaki ma zasięg, czy powstańcy zostali pobici, czy nie?".

Na rozwiązanie dylematu: iść na pomoc Warszawie czy nie, a jeśli tak, to kiedy, istotny wpływ miało kilka różnych okoliczności. Istotna była niewątpliwie obecność Mikołajczyka w Moskwie. Omawiając jego wizytę historycy polscy nie biorą pod uwagę tego, iż premier na jej czas stał się swego rodzaju zakładnikiem Stalina, bowiem rozstrzygnięcie spraw w Warszawie po myśli sowieckiej stawiało go w sytuacji bez wyjścia. Tym, moim zdaniem, tłumaczyć trzeba przewlekanie rozmów i negocjacji; pośrednim na to dowodem jest wypowiedź członka Centralnego Biura Komunistów Polskich w ZSRS Stanisława Radkiewicza, który stwierdził, że całą wizytę Mikołajczyka zaplanowano tak, aby go „zatrzymać w Moskwie z 10 dni", co dawało czas na podjęcie próby zdobycia Warszawy. Wypada w tym punkcie zgodzić się z Eugeniuszem Duraczyńskim, który podkreśla wagę rozmów, jakie premier prowadził ze Stalinem. Dodać trzeba, że Warszawa, wbrew zamierzeniom Mikołajczyka i Komendy Głównej AK, stała się w nich nie kartą przetargową wobec Sowietów, jak sobie to naiwnie wyobrażano, a odwrotnie - elementem szantażu, jakim mogła się posłużyć strona sowiecka. Fiasko negocjacji moskiewskich miało okazać się równoznaczne z wyrokiem śmierci na Warszawę. Wydaje się, że tej prostej prawdy nie pojął ani Mikołajczyk, ani skąpo - co prawda - informowane o jego rozmowach dowództwo AK.

Oddzielną kwestią jest ocena ówczesnych możliwości 1 Frontu Białoruskiego. W ostatnich dniach lipca, w wyniku klęski pod Radzyminem zadanej wysuniętej 2 Armii Pancernej gen. mjr. Aleksieja Radzijewskiego przez dwa niemieckie korpusy pancerne, jego natarcie zostało przyhamowane. Później z klęski tej uczyniono alibi dla poniechania do połowy września działań na kierunku warszawskim, co oczywiście było i jest jedynie wykrętem. Obecnie wiemy, że po zakończonej bitwie 2 Armia Pancerna, mimo iż straciła ponad połowę sprzętu, dysponowała jeszcze 344 czołgami i działami samobieżnymi, co wobec stojących po przeciwnej stronie 172 pojazdów niemieckich nie przekreślało jej zdolności ofensywnych.

Bardzo istotnym elementem całej rekonstrukcji jest też dyrektywa Stawki dla 2 i 3 Frontu Ukraińskiego z 2 sierpnia, nakazująca im podjęcie na wielką skalę działań zaczepnych, określonych później mianem operacji jassko-kiszyniowskiej. Przyjmuje się na ogół, że przy istniejącym stosunku sił Sowieci, przede wszystkim ze względów logistycznych, nie byli w stanie prowadzić jednocześnie głównego natarcia na dwu rozbieżnych azymutach. Rzecz w tym jednak, że wojska zarówno nad Dunajem, jak i nad Wisłą mogły zostać w dowolnej chwili zatrzymane jednym rozkazem, zaś rzeczywisty problem był taki, czy zaopatrzenie, sprzęt i jednostki z rezerwy Naczelnego Dowództwa spłyną do frontu marszałka Konstantina Rokossowskiego, czy też frontów generałów Rodiona Malinowskiego i Fiodora Tołbuchina.

Negocjując z Mikołajczykiem, obserwując bieg wypadków w Warszawie, oceniając szansę ofensywy w jej kierunku i nakazując jednocześnie rozpoczęcie alternatywnego natarcia, Stalin czekał zatem cierpliwie na wyklarowanie się sytuacji. Udzielenie jednostronnej z jego punktu widzenia pomocy powstaniu, o co zabiegał polski premier, nie wchodziło w grę. Nawet tak niewyrobiony jeszcze wówczas członek stalinowskiego Politbiura, jakim był Nikita Chruszczow, zauważał, że „ci ludzie [chodzi o rząd RP] chcieli, wykorzystując nasze wojska, naszą siłę, naszą krew, rozgromić Niemców i oswobodzić Polskę, ale żeby Polska pozostała krajem kapitalistycznym, związanym z Zachodem".

Twarde stanowisko Mikołajczyka, a nadto przekonanie Stalina, że powstanie nie ma szansy zwycięstwa z racji zbyt nikłych sił (w rozmowach z premierem mówił: „cóż to za armia bez artylerii, czołgów i lotnictwa? [...] To są małe oddziały partyzanckie, a nie regularne jednostki. [...] To nie jest wojsko, to raczej ludzki materiał na stworzenie wojska") i woli Hitlera pacyfikacji Warszawy, co było także istotnym czynnikiem kalkulacji - wszystko to spowodowało, iż generalissimus zdecydował się spokojnie doczekać zwycięstwa Niemców, bowiem w kategoriach politycznych było to dlań rozwiązanie najlepsze. Fizyczna likwidacja głównej bazy legalnych władz i AK, jaką stanowiła Warszawa, ułatwiała niesłychanie narzucenie PKWN jako władzy w całym kraju. Aby jednak ów optymalny scenariusz mógł się ziścić, należało dla wszelkiej pewności zablokować pomoc dla miasta ze strony sojuszników zachodnich, którzy zresztą, właściwie oceniając intencje Sowietów, zbytnio się do niej nie kwapili.

Negatywna decyzja Stalina znalazła odzwierciedlenie w opublikowanym 12 sierpnia komunikacie TASS, w którym stwierdzono, że „odpowiedzialność za wydarzenia w Warszawie spada wyłącznie na polskie koła emigracyjne w Londynie". Stanowiło to, zgodnie z sowiecką taktyką eskalacji, początek kampanii zarzutów, kłamstw i kalumnii, mających usprawiedliwić pasywną postawę Armii Czerwonej. W trzy dni później wicekomisarz spraw zagranicznych Andriej Wyszyński odrzucił możliwość użyczenia lotnisk sowieckich samolotom alianckim latającym nad Polskę, a stanowisko to potwierdził nazajutrz Stalin, odcinając się w liście do Churchilla od „nierozsądnej, strasznej awantury" i oświadczając, że nie chce „ponosić ani bezpośredniej, ani pośredniej odpowiedzialności za akcję warszawską". Pomimo kilku kolejnych wystąpień w tym duchu Sowieci zmienili jednak w końcu zdanie i 11 września przystali na możliwość lądowania alianckich samolotów na ich lotniskach. Był to wynik nie tyle liczenia się z opinią zachodnią czy naciskami, przede wszystkim Churchilla, ale oceny aktualnej sytuacji, bowiem wtedy już nic, poza bezpośrednią pomocą zbrojną, nie mogło zmienić położenia Warszawy. Oczywiście nie zamierzano jej udzielić, niemniej przewlekanie bitwy o nią, bez najmniejszej szansy sukcesu, było z punktu widzenia Stalina najbardziej korzystne, gdyż jedynie powiększało straty i zniszczenia miasta.

Oficjalne enuncjacje piętnujące „awanturę warszawską" były adresowane nie tyle do przywódców zachodnich czy zachodniej opinii publicznej, ile do Hitlera i Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (OKH), na co polska historiografia nie zwróciła dotąd uwagi. Führer zyskiwał w ten sposób pewność, że do momentu pacyfikacji Warszawy Stalin będzie przestrzegał swoistego zawieszenia broni i zaniecha działań ofensywnych na centralnym kierunku strategicznym. Na ile Niemcy wzięli ów specyficzny komunikat pod uwagę, trudno w tej chwili rozstrzygać, ale cały metodyczny, wręcz powolny sposób tłumienia powstania przez Ericha von dem Bacha-Zelewskiego wskazuje na to, że w swych działaniach nie liczył się on zbytnio z czynnikiem czasu, czyli *eo ipso* - zagrożeniem sowieckim.

Aby zatrzeć fatalne wrażenie, jakie nawet na sowietofilskim Zachodzie wywołała obojętność wobec powstania, a także podtrzymać je jakiś czas fałszywymi nadziejami, a ponadto uwiarygodnić patriotyzm PKWN, trzeba było jeszcze zadokumentować światu ofiarność oraz dobrą wolę dowództwa sowieckiego i LWP. W tym celu w połowie września wojska 1 Frontu Białoruskiego marszałka Rokossowskiego rzucono na Pragę. Zdaniem Berlinga szturm ten przeprowadzono świadomie w taki sposób, aby dać Niemcom czas na wycofanie wojsk i „swobodę wysadzenia mostów, co z kolei wykluczało jedną z możliwości okazania szybkiej pomocy powstańcom". Po zajęciu prawobrzeżnej Warszawy Stalin zwrócił się do Rokossowskiego z zapytaniem, w jakiej formie mógłby udzielić pomocy powstaniu. Marszałek, w lot pojąwszy, że „Gospodarz" myśli jedynie o zapewnieniu sobie politycznego alibi (w innym przypadku wydałby, jak zwykle, dyrektywy i rozkazy), dał do zrozumienia Berlingowi, dowodzącemu wysuniętą nie bez przyczyny w awangardzie 1 Armią Wojska Polskiego, iż może przystąpić do przeprawy przez Wisłę. Generał dokonał jej „w obliczu

emocjonalnego i moralnego przymusu okazania natychmiastowej pomocy ginącej Warszawie", na podstawie własnej „samodzielnej decyzji". Nastąpiło to niemal z marszu,

siłami niewątpliwie zbyt szczupłymi, a do tego praktycznie bez ciężkiej broni. Rzucani za Wisłę batalionami żołnierze nie byli wyszkoleni do walk w mieście, a nadto, jak słusznie oceniał to gen. Antoni Chruściel („Monter"), cała akcja, na skutek rozdrobnienia sił, została „fatalnie zorganizowana". Bez realnego wsparcia ze strony dowództwa frontu, które dysponowało silną artylerią i lotnictwem oraz odpowiednimi środkami desantowymi, przyczółki trzeba było po kilku dniach ewakuować (Berling oskarżał wręcz Rokossowskiego o sabotowanie operacji). Osiągnięto jednak zakładane cele: „lubelscy Polacy" dali dowód patriotyzmu i poświęcenia, powstaniu realnie pomóc i tak nie zdołali, a walki w mieście trwały jeszcze parę dni dłużej.

Pozostaje na koniec jeszcze jeden problem. Wedle relacji gen. Leona Bukojemskiego, który wówczas był żonaty z Janiną Broniewską, po wybuchu powstania do ich mieszkania wpadła najbliższa, nieodłączna przyjaciółka gospodyni Wasilewska, „oświadczając, że Powstanie Warszawskie wpłynęło na zmianę stosunku władz ZSRS ze Stalinem do koncepcji stworzenia 17 [Sowieckiej] Republiki Polskiej", co należało rozumieć jako ostateczne poniechanie jej utworzenia. Cała ta historia, może nawet prawdziwa, oddaje jednak co najwyżej wyobrażenia Wasilewskiej o intencjach Stalina, trudno bowiem przypuszczać, aby czynił jej tego rodzaju wyznania. Jeśli snuł wtedy jeszcze takie plany, to amputacja serca Polski i mózgu Armii Krajowej, która do tego okazała się znacznie słabsza niż przypuszczał, powinna raczej skłaniać go do absorpcji wydanej na łup, niezdolnej już do jakiejkolwiek skutecznej obrony Rzeczypospolitej. Wydaje się zatem, że wizja siedemnastej republiki upadła ostatecznie w momencie powołania PKWN, a przyczyniła się do tego raczej wileńska „Burza".

„Pozostała tylko legenda i długie szeregi żołnierskich grobów na cmentarzu Powązkowskim - komentuje gorzko dwumiesięczną bitwę o Warszawę najwybitniejszy znawca powstania prof. Jan Ciechanowski. - Leży tam pokotem kwiat warszawskiej młodzieży, kwiat Armii Krajowej. Leży batalion za batalionem, kompania za kompanią, pluton za plutonem". Bez nich proces sowietyzacji Polski stał się dla Stalina znacznie łatwiejszy.

* Zaczerpnięte z „Powstanie Warszawskie. Fakty i mity" [w] Konferencje IPN, Warszawa 2006.